

KULTURA POLSKA

organ Tow. Kultury Polskiej.

miesięcznik

Redaktor A. ŚWIĘTOCHOWSKI

TREŚĆ NUMERU: Bezwład.—Polityka.—Pokłosie.—Sprawy społeczne.—Kolej Warszawsko-Wiedeńska —Polska żydowska.—Wymowny dokument.—Hygiena domowa uczniów szkół początkowych.—Wystawy malarskie.—W Stowarzyszeniach.—Literatura polska.—Z czasopism polskich.—W Tow. Kultury Polskiej.—Kronika.—Zmarli.—Dary dla Tow. Kultury Polskiej.—Ogłoszenia.

Bezwład.

Z wiadomości, które starannie zapisujemy w naszym miesięczniku, czytelnicy mogli łatwo dostrzedz, że rok ubiegły odznaczył się zwiększonym osłabieniem w pracach i przedsięwzięciach kulturalnych. Główne ich organy — stowarzyszenia, instytucje oświatowe i t. d.—przeciągały leniwie swoje istnienie z dnia na dzień bez zapału, bez wiary w przyszłość. Po za korporacyami sportowymi i karcianymi wszystkie inne drzemały, budząc się o tyle tylko, o ile potrzeba było dla przerwania letargu lub odsunięcia śmierci. Resursy i kluby wrzały życiem i roiły się tłumem; sale stowarzyszeń kulturalnych ziewały pustką i nudą. Jeszcze raz stwierdziliśmy, że chcemy i umiemy się bawić, a nie chcemy i nie umiemy potęgować sił narodu. W rachunkach jego dorobków dopisujemy ciągle zdobycze przeszłości i podtrzymujemy swoją bankrutującą sławę jej kosztem. Niezmordowanie przypominamy, czem byliśmy w wieku XVI, co zrobiliśmy w XVIII, ale czem jesteśmy i co robimy dzisiaj, na to kładziemy mniejszą wagę. A jesteśmy wartości cią drobną, zaledwie dostrzegalną w ogólnej sumie cywilizacji. Stwierdzenie publiczne tego faktu tak dalece okazało swą niemoc w oddziaływaniu na czynniki społeczne, tak wyraźnie stało się argumentem kaznodziejskim, niewywierającym żadnego wrażenia, że powtarzamy je bez żadnej nadziei wywołania pożądaney zmiany, lecz wyłącznie dla oryentacji. Gdyby najbardziej złotouści rzecznicy wyleli rzeki najpiękniejszej wymowy, gdyby Jowisze cisnęli najognistsze gromy, ten materyał ludzki, z którego tworzy się obecne nasze społeczeństwo, na silny ruch kulturalny się nie zdobędzie. Będziemy urządzali święta kwiatków i koncerty dobroczynne, będziemy czytali zajmujące powieści i słuchali wykładów, będziemy

marzyli o lepszych brukach w mieście i lepszych drogach na wsi, będziemy szybko wprowadzali na naszą scenę głośne dramaty i operetki zagraniczne, ale wielkich czynów a nawet tylko wielkich zamiarów nie podejmiemy. Kto sądzi, że jakimś słowem magicznym porwie ogół do takiego dzieła — roi dziecinnie. Można często, jak najczęściej, wieszać nowe sita na kołku i zbierać koło nich większe lub mniejsze gromady—to się uda; ale jeżeli będziemy od tych gromad wymagali, ażeby one zbyt długo cieszyły się jednym sitem — to zawiedzie. Wszystkie zrzeszenia kulturalne, bez względu na ich kierunki i cele, odmawiają w swych sprawozdaniach ten sam pacierz żałosny: członkowie nie poczuwają się do najprostszych obowiązków, nie przychodzą na zebrania, nie dotrzymują przyrzeczeń, nie płacą składek, nie prenumerują własnego organu.

Wobec tej opieszałości i apatii staje nieraz pytanie: czy warto ciężką ofiarą jednostek podtrzymywać organizacje martwe lub bezpłodne? Czy to nie jest szlachetny, ale dziwny upór? Czy nie możnaby lepiej zużytkować starań zmarnowanych? Nie. Żaden naród, a tem bardziej politycznie ubezwłasnowolniony, nie ma innych sposobów rozwijania swej kultury, tylko stowarzyszenia i instytucje społeczne. Jeżeli wogóle mamy istnieć, prędzej czy później musimy to zrozumieć, musimy stwarzać i zasilać organy życia zbiorowego. Wierzmy, że obecny bezwład jest wynikiem długiego skrępowania, które zniszczyło lub osłabiło pewne tkanki i nerwy w organizmie narodu, i że on w zmienionych warunkach zniknie. Ale ta wiara ani nie uwalnia nas od pracy dnia dzisiejszego, ani nie rozgrzesza z niedbalstwa. Zresztą jest ona tylko wiarą, a naród musi starać się o pewność istnienia w przyszłości. Dla tego przekonania mamy obecnie za mało dowodów. Rozmyślamy nad niebezpieczeństwem praw wyjątkowych, wydawanych przeciwko nam przez rządy, a lekceważymy niebezpieczeństwo opóźnienia się w rozwoju kultury, która jest polem walki ostatecznie rozstrzygającej o losach narodów. Z tej strony idzie najgroźniejsza dla nas chmura. Nie zgładzi nas miecz i ucisk, ale zgładzić może niemoc wewnętrzna.

POLITYKA.

Nowy prezes Koła w Wiedniu „ekscelencya” (tego tytułu nigdy nie opuszcza) Biliński wygłosił w parlamencie mowę, od której scierpła skóra nawet czarno-żółtym patryotom. Jej sens zawierał się w wyra-

żeniu: „całemu światu wiadomo, że my Polacy nie mamy absolutnie żadnych aspiracji prócz interesu dynasty i państwa. To państwo raz podbiło nas przy rozbiórce Polski, ale potem zostaliśmy drugi raz podbici moralnie a świadomość tego podboju moralnego jest punktem wyjścia i gwiazdą przewodnią polityki Koła polskiego”. Brakło tylko, ażeby ten niewolnik puścił

się w płasy na estradzie parlamentu. „Koło polskie—pisze N. R e f o r m a—przez usta swego prezesa, nie tylko wzmocniło konserwatywno-dynastyczną politykę Grocholskich i Apolinarych Jaworskich, lecz w całej jej formie i treści powlokło ją świeżymi kanarkowo-czarnymi kolorami. Takiej... austriackiej mowy, jak ostatnia p. Bilińskiego, już dawno nie słyszano z ław Koła polskiego w Wiedniu. Nawet ś. p. Apolinary Jaworski, w ostatnich latach swej prezesury oględniejszy był w szafowaniu hasłem „przy tobie stoi my i stać chcemy“.

Energiczniej odzywa się K u r y e r l w o w s k i

„Nawet najbardziej służalczo usposobieni prezesi markowali z mniejszym lub większym naciskiem nasze odrębne aspiracje narodowe. P. Biliński moment naszych aspiracji narodowych wyeliminował zupełnie z programu Koła polskiego. Za cenę uwzględnienia pewnych potrzeb gospodarczych stopił się z Austryją i uznał się wraz z całym naszym narodem państwowo i moralnie podbitym. Powiedział, że jeśli my, polacy, w Galicyi, będziemy choć trochę syci i jeżeli żołądki nasze będą w porządku — to gwiazdą naszą przewodnią w całej polityce będzie to, co się urodzi w sferach dynastycznych i państwowych. My dla siebie niczego nie żądamy!“

Na tych protestach papierowych poprzestano. I pomyśleć, że są jeszcze na świecie kłamcy, którzy zarzucają polakom ciągłą rewolucyjność!

POKŁOSIE.

Wielkie wyrazy bez sensu. Zatarg Towarzystwa literackiego z Technicznym. Wyzwolenie się chłopów w mleczarstwie. Dicz mordująca. Znaczek złośliwej muchy.

„Wstań naga, w styksowym wykąpana mule“. „Nigdy poeta nie zdobył się na gest wspanialszy, nigdy nie wydał był słów bardziej wiecznych“. Bagatela! I to nasz! Boję się tego przypuszczenia, ale natrętnie ono mi szepcze, że może niewielu moich czytelników wie, kto zrobił ten najwspanialszy gest i wypowiedział te słowa najbardziej wieczne. Trudno, zdarza się to bardzo często z naszymi geniuszami, których albo się nie zna, albo się ich głowami niebo przebija. Ale czy przynajmniej rozumiecie, gdzie w tych słowach mieści się wspaniałość i wieczność?

Znowu boję się, że i tego nie dostrzegacie, gdyż ja sam jestem w tem przykrem położeniu.

Tenże objawiciel głosi o pewnej rozprawie naukowej: „Książka epokowa — stoi na szczycie społecznej myśli europejskiej“. Czyżbyście znowu nie wiedzieli, kto jest autorem książki epokowej i stojącej na szczycie myśli europejskiej? Podejrzewam. Pocieszmy się jednak. Ani ta rozprawa ani inne nie wyrosły po nad wyżyny ducha ludzkiego, to tylko się tak po przyjacielsku mówi... u nas... w Warszawie. Co to komu szkodzi, że jeden Ajax nazwie drugiego Ajaxa bogiem? Przecież to nie będzie wciągnięte do mitologii świata, nie wyjdzie po za rogatki Syrenie, nie przetrwa nawet do następnej lunacyi księżyca. Dzień dzisiejszy to napisze a jutrzejszy zetrze i koniec. Oprócz zaś usługi przyjacielskiej, pewną przyjemność wyświadcza się czytającemu ogółowi. Nadeszła bowiem teraz pora wielkich wyrazów. Lubujemy się w nich nadzwyczajnie. Gdy tegoczesny intuicyonista zacznie mówić o ziarnku piasku, zdaje się, że ono jest większe od całej kuli ziemskiej. Wziąwszy w rękę zwykłą marchew lub stanąwszy przed zwykłym płotem, widzi natychmiast zawrotne szczyty, przepastne głębiny, Prometeuszowe bóle, tragiczne walki, ogniste słupy, podniebne kaskady—wszystko to—potwarzam—wobec marchwi i płotu...

Nic też dziwnego, że kapłanka tego kultu wielkich wyrazów, prasa, uważa się za twór ulepiony nie z pospolitej gliny, lecz z pianki. Istnieje w Warszawie Towarzystwo literacko-dziennikarskie, które zdradza nieprzepartą chęć do wydawania zaocznych wyroków na ludzi, ani niebędących jego członkami, ani niechcących zasiąść na jego ławie oskarżonych. Ostatnio wciągnęło ono na nią prezesa Stowarzyszenia Techników za ostre wyrażenie o prasie, które mu padło z ust podczas poufnego zebrania. Skutkiem groźnych not, które ukazały się w dziennikach, delegaci tej instytucji pośpieszyli w pokutnych koszulach z usprawiedliwieniem się i zaprzysięgii je w uroczystym protokóle. Działo się to jednak podczas nieobecności głównego winowajcy, który wróciwszy z zagranicy, zaprotestował przeciwko skrusze i zażądał sądu obywatel-

skiego. „Przepraszamy—odrzekł zarząd literatów—ale my sądzymy się sami“. Poczem wsiadł na bardzo wysokiego konia i dumnie spojrzał na tłum śmiertelników, rzekłszy: „jeżeli chcecie nam się przypatrzeć, zadrzyjcie dobrze głowy i spójrzcie w górę“. Jest to obraz niewątpliwie bardzo piękny i trudno nie czuć szacunku dla zastępu, który pragnie „trzymać wysoko sztandar swej godności“. Ale nasuwają się wobec niego pewne pytania, które niepodobna pozostawić bez odpowiedzi. Mianowicie: jeżeli tak poważny i mądry naród, jak Anglicy, ułożył cały kodeks swych praw z wyroków sądowych i jeżeli pozwala nędzarzowi zaskarżyć rozporządzenie króla i oprzeć się nieprawemu, to czy Towarzystwu literatów spadłaby korona z głowy, gdyby zgodziło się na sąd obywatelski? Powtóre: czy wyrażenie, rzucone na zebraniu poufnem, powinno być przedmiotem roztrząsania publicznego? Po-trzecie: czy sama prasa w stosunkach między swymi organami nie posunęła się tak daleko we wzajemnych obelgach, że porównanie jej przez p. Drzewieckiego z cyrkułem wydaje się wersalską grzecznością? Łobuz, nikczemnik, rzezimieszek, bandyta, szpicel i tym podobne epitety zdobiące należą do zwykłych kwiatów korsa dziennikarskiego. Czy pamiętając o nich można „wysoko trzymać sztandar godności“ i gniewać się za niewinny stosunkowo przygryzek? Gdyby ten sztandar nie był poplamiony, jego chorążowie nie byłiby tak wrażliwi na ciśnięcie weń pecynką. Nie pojmujemy przytem, czemu dzienniki warszawskie chcą koniecznie otworzyć zamknięte dla nich drzwi Stowarzyszenia Techników, instytucji wcale nieciekawej, przeważnie klubowej i od czasu do czasu głośniejszych awanturami? Ale jakkolwiek mają ku temu powód, niech nie powtórzą drugi raz groźby karania jej bojkotem za jakieś swobodne słowo. Takie środki trzeba zachować dla poważniejszych wypadków i przewinień.

Co warte są i jaki nieraz mają skutek bojkoty, przekonywa osaczenie *Zarania* i prądu ludowego. Rzeki, błota i grady kamieni spuszczone na ten tygodnik. Ile jest w naszym kraju ambon, tyle spadło na niego klątw i obelg, ile w prasie ognisk wstecz-nictwa lub warsztatów potwarzy, tyle ciśnięto

na niego oskarżeń i wymysłów. Księża nie tylko lżą, ale czytelnikom tego pisma odmawiają posług religijnych i burzą przeciwko nim ciemny motłoch; oszczercy dziennikarscy nie tylko je napastują, ale zniesławiają. Mimo to krąg abonentów *Zarania* ciągle się rozszerza a pobudzane przezeń usamowolnienie ludu wzrasta. Przed paru tygodniami odbyła się w Warszawie narada przedstawicieli kółek rolniczych w sprawie oddzielenia spółek mleczarskich od Centr. Tow. Rolniczego i utworzenia własnej, chłopskiej organizacji. Część przedstawicieli przystąpiła odrazu do tej spójni, część odroczyła swój udział do porozumienia się z mandataryuszami. Ci obrońcy ojczyzny, którzy uważają za swój rycerski obowiązek pluć na lewo, otrąbili jeszcze raz niebezpieczeństwo narodu, uspokoiwszy go jednak, że Polska nie zginie, póki oni żyją. Ale my, którzy nie widzimy potrzeby bezwzględnie i z zasady pluć na prawo, przyznając Centr. Tow. Rolniczemu duże zasługi, widzimy w tej dążności ludu do uniezależnienia się bardzo pocieszający i doniosły objaw. Niech chłopci zakładają własne mleczarnie, maślarnie a nawet akademie i uniwersytety, bo tem dowodzą, że żyją, że myślą i czują, że nie chcą pozostać nadal księżo-pańską trzodą. A gdyby jakieś ich przedsięwzięcie ekonomiczne runęło, pozostaną w jego gruzach płodne nasiona nowourodzonej energii.

Wszędzie praca walczy z kapitałem, wszędzie robotnicy usiłują odebrać fabryantom jakąś część wydartego im łupu, ale tylko u nas ta walka jest rozprawą barbarzyństwa z wyzyskiem, tylko u nas stoją naprzeciwko siebie ślepy egoizm i mściwa dzikość. Robotnicy piekarscy, nie poprzestając na zamordowaniu dwóch członków zarządu związkowego, zastrzelili dwóch innych. Więc nie bezpośrednich wyzyskiwaczy i krzywdzicieli, ale współtowarzyszów zawodu, mających odmienne przekonania. Żadne rozumowania i argumenty nie mogą bardziej dyskredytować sprawy robotniczej, niż ten czerwonoskóry socjalizm, te bandyckie przecinania sporów rewolwerem. Słyszeliśmy niedawno o wielkich bezrobociach w Anglii, Francji, Holandyi. Tam przez cały czas trwania boju, w którym uczestniczyły setki tysięcy rozgoryczo-

nych ludzi, nie zdarzył się ani jeden taki wypadek, jaki u nas zdarza się przy byle zatargu ekonomicznym. Bo tam jest kultura, a u nas dzicz, zawsze i we wszystkim dzicz.

P. S. Po pismach warszawskich uwija się nieczysty i brzęczący owad, który pstrzy ich papier śladami swej nieobyčajności. Ten zły owad osądził w jednej z gazet, że winnymi onych morderstw są żydzi, bo szerzą socjalizm, i nasze Towarzystwo, bo uprawia „szwindel kultury”. Wywołaliśmy już przeciw sobie wielu procarzów, ale tego gatunku jeszcze nie było. Bądźmy jednak sprawiedliwi: lepiej że autor pisze takie artykuły, niż liche dramaty i poezje, bo tam naiwni mniemają, że to literatura, a tu każdy widzi, że to jest taki sobie zwyczajny, warszawsko rysztykowski paszkwilik.

H. D.

Sprawy społeczne.

Muzeum przemysłu i rolnictwa.

Ta nader pożyteczna instytucja w ostatnim sprawozdaniu za rok 1910 daje obraz nieustannego rozwoju swej działalności. W pracowniach jej, stacyach i oddziałach, na różnorodnych kursach wre praca bujna i owocna. Do istniejących obecnie pracowni: chemicznej, fizycznej i antropologicznej przybyła doświadczalno-naukowa, która w ciągu dwu miesięcy swego istnienia udzieliła porad i wykonała analiz 37. Program jej obejmuje studia naukowe i praktyczne przede wszystkim w zakresie gorzelnictwa i drożdżarstwa, dalej mleczarstwa, piwowarstwa i innych gałęzi przemysłu fermentacyjnego oraz bakteriologii rolnej, chorób roślin i produktów roślinnych. Zarząd jej zamierza porozumieć się z innymi instytucjami pokrewnymi, ażeby wspólnymi siłami stworzyć w Warszawie Instytut fermentacyjny.

Czynności innych pracowni wykazują niezaprzeczone postępy. Fizyczna przeprowadziła badania magnetyczne w 18 punktach, z tych 15 przypada na Królestwo; sprawdziła 1826 termometrów lekarskich, a ogółem dokonała 1914 sprawdzeń—o 479 więcej, niż

w roku poprzednim. Chemicznej również nadesłano w czasie sprawozdawczym cztery razy więcej analiz: z 602 w r. 1909 liczba ich podskoczyła do 2289. Ukończono badania geologiczne wzdłuż drogi żelaznej Herby — Kielce, prowadzone z polecenia Komitetu geologicznego w Petersburgu i dokonano, dzięki zapomódze Kasy Mianowskiego, całego szeregu poszukiwań w zakresie jury wyżyny środkowo-polskiej oraz badań nad utworami tryasowymi gór Świętokrzyskich i łódzcowymi gub. kaliskiej, warszawskiej i płockiej; prócz tego opracowano znajdujące się w Muzeum kolekcje skamielin kredowych. Działalność pracowników antropologii nie mniej była wytężona i owocna.

Stacya oceny nasion dokonała badań, analiz i określiła 2845, zaplombowała i sprawdziła 1493 worki z nasionami. W jej ogrodzie doświadczalnym, w Kazimierzu nad Wisłą, prowadzone są badania nad czystością i typowością odmian prób nasion, obserwacje aklimatyzacyjne. W lokalu warszawskim, w porze zimowej odbywają się wykłady z demonstracjami, dotyczące chorób roślinnych i szkodników.

Stacya meteorologiczna w Warszawie jest punktem centralnym dla całej sieci rozrzuconych po prowincyi. Liczba nadsyłających jej swe spostrzeżenia wzrosła w r. 1910 z 68 do 219; powiększyła się nadewszystko ilość stacyj deszczowych do 166, których poprzednio było bardzo niewiele. Biuro warszawskie opracowywa nadesłane spostrzeżenia, w okresie wegetacyjnym, co dziesięć dni wydaje biuletyny meteorologiczno-rolnicze, oraz każdodziennie przeglądy pogody dla wielu pism, prowadzi badania i poszukiwania naukowe.

Oddział odczytów zorganizował 8 wykładów ziemioznawczych, 6 z dziedziny chemii, 8 o energii promienistej i kilka innych treści różnorodnej. Na odczytach tych było ogółem 6172 osoby, a na pokazach doświadczalnych, prowadzonych dla szkół i pensyi oraz członków Muzeum — 8936 osób. Słuchacze Kursów Naukowych korzystali przez cały rok wykładowy z wszystkich pomocy, jakimi Muzeum rozporządza.

Zbiory Muzeum stanowią: dział wykopalisk przedhistorycznych, starożytności, etno-

graficzny, przyrodniczy, przemysłowy, biblioteka. Powiększają się one stale i również stale cierpią na brak miejsca. W roku sprawozdawczym zwiedziło je 10,072 osoby.

Bardzo doniosłe znaczenie dla społeczeństwa ma fundacja szkolna Muzeum. Rozpada się ona na: Klasy rzemieślniczo-przemysłowe, Kursy przygotowawcze dla monterów-elektrotechników, Kursy dla monterów, obsługujących elektrownie, Kurs dla monterów, obsługujących młocarnie parowe, Kurs dwutygodniowy dla mechaników wiejskich, Praktyczne letnie kursy gorzelnicze. Na wszystkie zapisało się ogółem 218 słuchaczy, nie wliczając uczniów klas rzemieślniczo-przemysłowych, których też liczba jest znikoma. Trudnem jest dźwiganie się w górę, a dla polskiej duszy, ospałej i w lenistwie zastygłej, jeszcze trudniejsze. Dziw, że ludzie, którzy podejmują tę pracę Syzyfową, nie ustają w drodze, nie zniechęcają się.

Zestawiwszy prace wszystkich działów instytucji w r. 1910, otrzymujemy następujące cyfry: badań, analiz, sprawdzeń i ekspertyz wykonano 9739; z pomocy naukowych w pracowniach, klasach, kursach, z pokazów naukowych korzystało 9571 osób; z odczytów, urządzonych przez Muzeum—6172; zwiedziło zbiory 10,072; zapomogi w kwocie 4620 rb. otrzymało 51 osób; prac naukowych ogłoszono drukiem 22.

Należy dodać, że z początkiem bieżącego roku szkolnego, Komitet Muzeum utworzył dla studyów zawodowych nowe Kursa przemysłowo-rolnicze, o których już wspomnieliśmy powyżej.

Kolej warsz.-wiedeńska.

Jest najstarszą linią w naszym kraju. W dniu 3 czerwca 1845 r., a więc przeszło 66 lat temu, otwarty został na niej pierwszy ruch normalny od Warszawy do Grodziska. Wszystkie trzy jej odnogi: wiedeńska, bydgoska i kaliska liczą razem 711 wiorst i zatrudniają przeszło 18,000 ludzi. Tym ludziom i stojącym po za nimi rodzinom grozi ruina wobec zapowiedzianego przejścia kolei w ręce rządu z początkiem roku przyszłego i niewąt-

pliwego usunięcia polaków z bardzo wielu stanowisk, jak to już miało miejsce na kolejach: Terespolskiej i Nadwiślańskiej. Wiedeńską wybudowano za pieniądze rządowe, pod kierunkiem inżynierii wojskowej i w r. 1857 oddano do eksploatacji Towarzystwu akcyjnemu na lat 75. Za 19 lat kolej miała już przejść bezpłatnie w ręce skarbu. Ale rząd nie chce czekać i w jak najkrótszym czasie postanowił wykupić ją z rąk akcyonaryuszów. Na podstawie zysków, jakie dała w ostatnich pięciu latach, trzeba im będzie zapłacić najmniej 30 milionów rubli, lecz właśnie te zyski przyspieszyły, zdaje się, jej upaństwowienie. W r. 1909 kolej przewiozła 8,585, 870 pasażerów; w roku bieżącym z ruchu pasażerskiego i towarowego spodziewają się 27,940,000 mil. rubli dochodu. Zapowiedziana zmiana może wstrząsnąć głęboko życiem kraju zarówno w sferze społecznej, jak ekonomicznej. Trudno nawet dziś przewidzieć wszystkie jej następstwa. Gospodarka na innych kolejach rządowych nic dobrego i na tej nie wróży. Jeżeli dziś kolej wiedeńska pomimo swej sprawności zasługuje na wiele zarzutów, mamy już doświadczenie, czego w przygotowujących się warunkach oczekiwać możemy.

Początkowo obsługiwali ją wyłącznie polacy, a ponieważ służba na kolei uważana była na równi z państwową i broniła od wojska, na najniższych nawet stanowiskach spotykało się zapisane nazwiska, znane w kraju. Po roku 1863 zaczęto polaków usuwać, a ponieważ w Cesarstwie nie było ludzi odpowiednio uzdolnionych, sprowadzono ich z Niemiec. Wszystkie wyższe stanowiska obsadzono cudzoziemcami; w korespondencji urzędowej, w stosunkach służbowych posługiwano się językiem niemieckim; podobno nawet istniało rozporządzenie, ażeby przyjmować na służbę kolejową tylko umiejących po niemiecku. Ten okres germanizacyjny trwał do roku 1872. Potem zaczęto pozbywać się Niemców. Najwięcej do tego „oczyszczenia“, jak mówi Świat, przyczynił się dyrektor Findeisen, człowiek noszący nazwisko niemieckie. W tej nowej fazie kolej zaczęła znowu wyrabiać sobie polskie siły, starając się o podniesienie wykształcenia zawodowego i ogólnego kolejników na wzór zagranicy. Założono szkołę

kolejową z ulepszonym programem, starano się o politechnikę w Warszawie. Te dążenia postępowe, które miały przeciwników w łonie samego kolejnictwa, spotkały się wkrótce z przeszkodą zewnętrzną. W r. 1881 kontroler, przysłany z Petersburga, znalazł, że nauka w polskich technicznych szkołach kolejowych stoi wyżej, niż w rosyjskich i że trzeba ją zrównać; więc zredukowano programy, kazano uczyć mniej. Za tem w szybkim pędzie przysłała rusyfikacja, która narzuciła kolei Warszawsko-wiedeńskiej rosyjski język, rosyjskich naczelników, zniesienie polskich napisów nazw stacji i przepisów bezpieczeństwa. Po tem nieszczęściu przyszło inne, w gruncie rzeczy jeszcze gorsze. W r. 1881 kapitałiści belgijscy zakupili sporo akcji kolejowych. W walce z zamierzonym przez nich wprowadzeniem przedsiębiorstwa w sferę spekulacji giełdowych akcyonariusze krajowi przyczynili się do oddania go pod bezpośredni wpływ ministerswa skarbu, które pracę kolei obciążyło bardzo trudnymi warunkami. Od chwili zetknięcia się z belgami, jak twierdzi autor artykułu w *Świecie*, z którego czerpiemy, zmieniły się też zapatrywania kierowników kolei, zaczęto troszczyć się przede wszystkim o dochód; bezprzykładnie wysoka opłata za bilety osobowe uczyniła kolej w.-w. jedną z najdroższych w Europie; „oszczędza nie” na dogodności publicznej zasilalo kasę skarbową milionami a władzy dało przekonanie, że kolej W.-W. jest „złotem jabłkiem”. Z tego przekonania wynika pośpiech, z jakim zabierają się do jej upaństwowienia, a dla społeczeństwa polskiego krzywda nieobliczona dziś jeszcze w swej doniosłości.

Polska żydowska.

Jest to naturalnym i nieuniknionym skutkiem polityki, wpychającej do Królestwa Polskiego, jako do głównego zbiornika, żydów z całego państwa, że oni w końcu uznali się spółdzielcami i spółgospodarzami naszego kraju. Liczba daje siłę, a siła—śmiałość. Nic też dziwnego, że gdy spłynęły do nas ogromne fale t. zw. „litwactwa”, usłyszeliśmy od przyszłów słowa, które przejęły społeczeństwo

polskie strachem i zgrozą. Strachem, bo ten zalew topi słabą naszą kulturę, zgrozą, bo nas chce wyprzeć żywioł, który nigdzie w Europie nie zdołał zdobyć dla siebie cała własnej ziemi, który, jak gromady wędrownych szczurów, wkopuje się w nory budynków całego świata. Więc w tym świecie tylko nasza ojczyzna jest oddana na pastwę przybłędów? Więc tylko naszą ziemię mogą uznać za swoją ludzie, niczem z nią niezwiązani, jej mieszkańcom wrodzy, którzy zatrzymali się w niej popasem? Chyba nic bardziej od tego skazania nie dowodzi, do jakiego stopnia jesteśmy sponiewierani, zlekceważeni, pozbawieni wszelkich praw opieki i obrony.

Gazety warszawskie przytaczają artykuł niejakiego Szelita w hebrajskim *H a z m a n i e* który każe nam błogosławić litwaków, jako apostołów wolności i kultury, a nadto radzi dokonywać krzyżowania ich z żydami miejscowymi dla wytworzenia nowej, doskonalszej rasy. Gdyby takie bezczelności odezwały się w Niemczech lub Francji, zdumchniętoby je szyderstwem i nikomu nie zamąciłyby one spokoju. Ale w kraju, gdzie jedno miasto (Warszawa) ma daleko więcej żydów, niż całe wielkie państwo (Francja), posiadają one złowrogą wagę.

Naturalnie, po za rozwijaniem własnej kultury nie ma żadnego środka przeciw temu niebezpieczeństwu. Do jakiej miary w tej niemocy wyrośnie u nas antisemityzm, trudno przewidzieć. To tylko pewna, że on na długo pozostanie jednym z głównych nerwów naszego społeczeństwa i że gdyby kiedykolwiek pękła przeciągnięta struna, patrzylibyśmy na wybuch gniewu i zemsty, którego bodajbysmy nigdy nie oglądali.

Wymowny dokument.

Biskup kaliski, Zdzitowiecki, kazał księżom w swej dyecezyi odczytać z ambon swój list pasterski przeciw tygodnikowi ludowemu *Z a r a n i e*. Na to 65 podpisanych włościan z Kaliskiego odpowiedziało mu listem publicznym, w którym czytamy:

Od religii, od zasad Chrystusa Pana, „Zaranie” nas nie odrywa i nie oderwie. My gorąco pragniemy,

by cały naród polski był wierny tym zasadom Chrystusowym; ale niech i Bracia kapłani wejdą na naszą drogę; niech będą zasadom Chrystusa wierni w czynie, bo oni wszak powinni być prawdą i gwiazdą przewodnią, prowadzącą nas na nowe tory.

Ale dziś, niestety, duchowieństwo nasze opanowała pycha, zazdrość, wyzysk i t. p., a są między nimi tacy, którzy właśnie przychodzą do nas w „odzieniu owczym, a wewnątrz są to wilcy drapieżni“.

Wasza Excelencya w swym Liście pasterskim brońni podwładnych sobie księży, ale my wiemy, czym oni bywają po parafiach; mówią inaczej, a czynią inaczej. Skoro jeden lub drugi po ukończeniu seminarium wyjdzie na parafię, to z początku jest jaki taki, ale jak tylko opanuje go władza rubla, to już jest inny.

To też, my chłopie, nie możemy brać przykładu z księży, ani ślepo słuchać i wierzyć im, bo w czynach ich zbyt często nie znajdujemy dobra, ale zło. Bo sami nie lękają się oni sądu Boga, o którym mówią. W kościołach naszych swemi bezcelowemi kazaniem wywołują też nieraz pusty śmiech, albo rozgoryczenie i żal, że tak jest.

Stanowczo też powiadamy, że jeżeli duchowieństwo dzisiejsze nie zmieni kierunku swego myślenia i postępowania, to nastanie czas rzeczy nieprzewidywanych, że niejeden nie będzie miał odwagi wejść na ambonę, bo będzie czuł, że wszyscy dziwią się jego sumieniu, że widzą, iż w sercu jego mieszka fałsz i obłuda.

Dalej czytamy w liście pasterskim: „Kościół (t. j. książę) zawsze szerzył naukę...“ A my pytamy, gdzie są skutki tej oświaty? Kraj w upadku, więzienia, jak nigdzie, przepełnione zbrodniarzami, czego nam cyframi dowiódł p. Konczyński; człowiek niepewny jest swego życia... więc cóż z tej Waszej oświaty? Kogo i jak ona oświeciła? Wielkich magnatów? duchowieństwo? A nauczycielście panów tak, że dziś ziemia polska przechodzi w ręce niemiecko-żydowskie, a chłop polski musi emigrować za morze. Fabryki w rękach żydów lub Niemców, a „oświeceni“ magnaci wyjechali lub wyjeżdżają za granicę i wywożą z Polski pieniądze i pozostawiają je po Montekarlach, Rywierach, Paryżach, Berlinach, Wiedniach, Marjenbadach i t. d. A duchowieństwo nauczycielem się zdzierając po 50 do 100 rb. za pogrzeby, po 10—25 za śluby, po pół do 1 rb. za chrzty, po 1,50 do 2 rb. za zapowiedzi; nauczyło się strzyżać wełnę z owiec ludu; nauczyło się prowadzić pańskie życie... Nauczyli się używać rozkoszy, drwić sobie ze wszystkiego, czego nauczają, i tylko ciemnemu ludowi każą się modlić i nie ubiegać się za groszem, bo to—powiadają—wszystko marność nad marnościami...

A chłop w ciemnocie i nędzy, jak był, tak jest.

Do tego przywiodła Wasza nauka. O biednym chłopie w tych szkołach Waszych, któreście dawniej w swych rękach mieli, zapomniano; dopiero go dziś spostrzegają, jako ostoję swojego bytu, gdyż na tamtych, na panów, niema co liczyć, bo już zwyrodnieli i pobankrutowali.

Woda w rzece przeciw prądowi nie pójdzie, tylko z prądem. Tak też przyszedł czas na nasz ciemny lud polski, że zniecierpliwiony złą opieką, własnym rozumem budzi się ze snu wiekowego. Musi on żyć i roz-

wijać się, bo Pan Bóg dał mu życie i tchnął weń ducha, obdarzonego przymiotami rozumu i wolnej woli. Ten duch obudzony będzie nim sterował i wszystkie tamy z piasku będą zmyte, a ta woda—oświata popłynie swoim korytem.

Z hasłem „sami sobie“ Lud-naród pójdzie, szukając prawdy i miłości braterskiej, jakiej nam dał przykład Chrystus.

Niestety, dziś nie mamy pomazańców-kapłanów swoich (z małymi wyjątkami) takich, jakich zostawił Chrystus po swej śmierci, którą podjął za prawdę. Mamy za to żądnych panowania nad ludem, a to z tradycji i z owych czasów, kiedy księża w swych rękach dzierżyli u nas wychowanie szkolne. Panowali wtedy nad umysłami i duszami szlachty i źle na tem kraj, naród wyszedł. Wszakże wszystkiego tego uczymy się z Historii. I chłop ją poznaje.

Można też i trzeba śmiało powiedzieć: niech nas Bóg strzeże od takiego dzierżenia przez kler ludu polskiego, bo znowu wszyscy musielibyśmy się położyć snem martwoty, i zmarnielibyśmy do szczytu materialnie i moralnie, że jenoby kiedyś prusak lub Niemiec wspominał nas, chodząc po naszych grobach, i powiedziałby: byli tu tacy, ale wyginęli, bo we śnie trzymani —spali.

Kończymy i oświadczamy: niech Wasza Excelencya wyda sto takich „Listów pasterskich“, a my będziemy czytali „Zaranie“ i każdego z braci namawiać będziemy, ażeby nietylko w każdej wiosce, ale i w każdym domu było, bo taka jest potrzeba ludu polskiego.

List ten jest jednym z najmocniejszych dowodów budzenia się samodzielności u ludu. Jeszcze przed 15 latu niktby nie przypuszczał, że jest u nas 100 chłopów, surowo sądzących duchowieństwo lub mających odwagę czytać ostrą jego krytykę. Dziś Zaranie ma kilka tysięcy abonentów i kilkadziesiąt tysięcy czytelników, którzy publicznie mówią słowa prawdy biskupom. Co za zmiana!

Hygiena domowa uczniów szkół początkowych.

Warunki higieniczne, w jakich wychowuje się nasza młodzież, uczęszczająca do szkół początkowych, a więc dzieci najuboższych warstw miejskich na prowincyi, należą do dziedziny spraw mało znanych i rzadko dotykanych. Mówi się najwyżej ogólnie o antysanitarnych i antyhigienicznych domach, gdzie mieszkańcy tylko w dniu ciepłe oddychają nieco świeżem powietrzem. Zimna pora roku każe zatykać pory ciasnego, niskiego, a

często wilgotnego pomieszczenia, żeby ciepło nie uciekało, żeby opał mniej kosztował. Z początkiem ubiegłego roku szkolnego powziąłem myśl przeprowadzenia wywiadu w początkowej szkółce miejskiej. Uskuteczniłem to tylko na 65 uczniach w wieku od lat 7 do 13. Projektowałem sobie zebranie liczniejszego materiału, ale na to nie pozwolił mi brak czasu i różnorodność zajęć. Ponieważ znam dokładnie jednakowe warunki w innych miejscach, więc pozwalam sobie z tych skromnych cyfr wyprowadzać wnioski.

Mieszkania tutejszej uboższej ludności znajdują się w drewnianych, przeważnie starych domach parterowych. Budowa ich jest szablonowa: w środku sień, z której po dwa wejścia z każdej strony prowadzą do czterech mieszkań. Jeśli dom jest obliczony na nieco zamożniejszą ludność, to każdy lokal składa się z pokoju i kuchni, jeśli na uboższą, to tylko z jednego pokoju, w którym mieści się i kuchnia. Wysokość takiego lokalu w starych domach nie przewyższa nigdy 4 łokci. Okna przeważnie z małymi szybami — półtora do dwóch łokci wysokości, podłoga drewniana tylko w wyjątkowo ubogich glinianą. Umeblowanie składa się ze stolika, szafy, komody i zwykle kilku łóżek. Jeżeli właściciel mieszkania jest rzemieślnikiem, to warsztat znajduje się w kuchni. W ostatnich czasach weszły w powszechne użycie piecyki żelazne, wysunięte znacznie na pokój z rurą blaszaną, wprawioną we właściwy piec. Piecyki te znalazły bardzo szerokie zastosowanie pomimo swoich antyhygienicznych właściwości — ciepło w mieszkaniu jest tylko wówczas, gdy się w takim piecyku pali; wydaje on przytem swąd; Wszyscy jednak rzucili się do tego wynalazku ze względu na potrzebę niewielkiej ilości opału, a utrzymanie ciepła zależy od ilości osób. O podwójnych oknach mowy niema, ale za to pojedynczych mieszkańcy nie otwierają prawie nigdy. Oto, jak wygląda ognisko rodzinne każdego z badanych uczniów. W tych warunkach musi kilkoletnie dziecko odrabiać lekcje latem dzięki małemu oknu w przyćmionym pokoju, zimą przy zakopconej zazwyczaj lampce bez klosza, umieszczonej na znacznej wysokości. Spokoju niema, bo hałas przy warsztacie, w kuchni i wśród młodszego rodzeństwa.

A teraz najwięcej ciekawe pytanie, jak spędza noc takie dziecko? Z zebranych wiadomości widać, że ani jedno niema oddzielnego dla siebie pokoju. Najmniejsza liczba śpiących w małej izdebce — dwie osoby. Najczęściej śpi w niej od 4 do 8 osób (w 47 razach, czyli 72,3 proc.) a w jednym nawet 9 i w jednym 10 osób. Na pytanie, czy chłopiec ma swoje łóżko, okazało się, że tylko 7 (10,7 proc.) chłopców sypia samych; (13, 7 proc.) z matką, babką lub siostrą; 39 (60 proc.) ze starszym mężczyzną, 9 z młodszym bratem lub siostrą i wreszcie jeden z dwoma osobami. Słowem 73 proc. tej dziatwy żyje oddechem i wyziewami osób starszych. Kąpią się dzieci tylko latem, bo zimą nie mają gdzie, gdyż łaźni miejskiej niema, pomimo wyjątkowej zamożności miasta.

A więc przygotowywanie lekcji wśród wrzawy, przy złym oświetleniu, sen wśród zaduchu i wyziewów z ciał niemytych i ubrań przepoconych. Należy się tylko dziwić, że pomimo takich wprost rozpaczliwych warunków higienicznych egzemę znalazłem tylko u 2 chłopców, ale za to nic dziwnego, że na zbędnych 65, 20 było anemicznych (30,7 proc.) pomimo początku roku i wypoczynku na świeżym powietrzu. Skrzywienie kręgosłupa co prawda w nieznacznym stopniu ujawniło się w 19 razach. Powiększenie gruczołów przeważnie pachowych znalazłem u 26 chłopców (40 proc.), Zepsute zęby miało 23 (35 proc.), Huttsinsonowskie u 8-iu, a jeden wykazał objawy fizycznego zwyrodnienia ze względu na brak od urodzenia zębów w dolnej szczęce z zanikiem wyrostka zębodołowego.

Tak się przedstawia stan zdrowotny i warunki domowe dzieci, pobierających wykształcenie początkowe. Czyż można się dziwić, że śpiące w zaduchu, w jednym łóżku z osobami starszymi dadzą w przyszłości znaczny procent chorych na gruźlicę, jeśli już teraz w najlepszym czasie dla rozwoju organizmu 40 proc. zdradza usposobienie do tej zabójczej choroby, której główną pobudkę ostateczną da śpienie w jednym pokoju a nawet w jednym łóżku z chorym członkiem rodziny (np. matka chorowała na rozpadową gruźlicę a w tym samym pokoju spał ojciec z 4 dziećmi). Nie mówię już o ujemnym wpływie moralnym na mło-

de pokolenia, które sypia w jednym łóżku z osobami starszymi i do tego płci różnej. Muszę dodać, że wszelkie choroby zakaźne zbierają w tych warunkach obfite żniwo, jak to miało miejsce w czasie epidemii szkarlatyny, a nawet odry.

Na szczęście klasa, do której uczęszczają te dzieci przedstawia duży, wysoki i widny pokój, ale i tutaj nadmierna liczba uczniów psuje dodatnie warunki higieniczne.

Naturalnie, o radę na te ujemne strony życia warstw ubogich trudno, ale wiedzieć o nich należy, gdyż stamtąd biorą początek wszelkie choroby zakaźne, które stają się grozą i warstw zamożnych, a jest rzeczą naturalną, że w tych warunkach przepisy, dotyczące walki z chorobami zakaźnymi, zabiegi lekarzy i ludzi dobrej woli rozbijają się o takie ognisko domowe, jak o skałę.

J. Truszkowski.

Wystawy malarskie.

Wyjątkowo bogatą pod względem treści jest obecnie wystawa Zachęty. Obok prac Okunia mieści ona szereg ostatnich dzieł malarskich Wawrzeńskiego i Gawińskiego. Wszyscy ci trzej artyści należą do bardzo u nas nieznacznej liczby talentów, umiejących w sztuce stworzyć własny świat. Wawrzeński, wybitny indywidualista, łączy w sobie uczonego z artystą, a ten kierunek badań w znacznej mierze odbił się w jego twórczości artystycznej.

Na obecnej jego wystawie, jak i na poprzednich zresztą, pierwiastek ten zaznacza się bardzo wyraźnie. Dominuje tu „Tryptyk słowiański“, taki właśnie dawny, w szerokie płaszczyzny ujęty, dziwnie prosty, a ożywczo świeży krajobraz, przedstawiony raz w zimowej śnieżnej szacie, to znów w krasie rozkwitu wiosennego, a wreszcie w bogactwie barw jesieni. Na tle tych trzech pejzaży widzimy dawne świętości słowiańskie: prastarą gontynę, otoczoną bóstwami kłocowemi, dalej symbol wszechwiedzy, czterotwarzowego Światowida.

Do treści swych dzieł stosuje on formę; a więc rysunek uogólniony, symboliczny; ko-

loryt bogaty, żywy, barwy ujęte w szerokie płaszczyzny bez pół tonów, całość traktowana dekoracyjnie.

Jest jeszcze druga epoka, którą specjalnie umiłował w swych pracach Wawrzeński — to średniowiecze ze swymi zabobonami, wiarą w cudowność. Jego obraz „Prowadzenie na stos“ daje nam wizję wstrząsającej sceny czasów, gdy ciemnota tłumu skazywała na śmierć szeregi niewinnych jednostek. Przejmujące w wyrazie są tu postacie, towarzyszące katowi i jego ofierze, z typową zaciekłością i bezmyślnem okrucieństwem w twarzach. ! pejzaż jest tu dziwnie tragiczny — sylwetki budowli oddalonego miasta, tonącego w mroku zimowej nocy.

Symboliczną jest druga praca artysty „Schadzka“, nadzwyczaj dekoracyjna i silna zarówno w sylwecie, jak też i w plamie barwnej.

Z innych dzieł tego artysty wymienić należy „Wyświęcenie upadłej“, „Średniowieczne kary klasztorne“, oraz „Maryję Egipcyankę, pustelnicę“.

Gawiński wyraźniej zarysowuje się, jako indywidualność twórcza, obdarzona dużym poetyckim polotem i wyobraźnią. Nie lubi on świata realnego, a szczególnie jego szablonu zewnętrznego, jaki panuje w chwili obecnej; jeżeli zatem zwraca się po tematy do życia rzeczywistego, to sięga do epoki Odrodzenia z całym przepychem ówczesnych kostiumów, nadających wybitny charakter postaciom. Bardzo dobrze pojęty jest „Kawaler bez trwogi“, mający w sobie ów „rycerski pióropusz“, jakąś nieustraszoną obok szlachetnej buty. Najswobodniej obraca się jednak artysta wśród świata baśni, którego nastrój doskonale wydatnia w swych obrazach. Nadaje się do tego specjalnie jego technika, rozwiewna, szkicowa, zaledwie zaznaczająca kontury. To też jego „Zabawa“ i „Koło wróżek“ robią wrażenie wizji, czegoś zupełnie niematerialnego, a dobrze zaznaczone w ruchu ciała zdają się płynąć w powietrzu i nie posiadać żadnej wagi. W wysokim stopniu baśniowy nastrój posiada Gawińskiego „Las Baby-Jagi“. Las traktowany mglisto; zaledwie zaznaczone zarysy drzew wywierają wrażenie tajemniczości, a fantazyjna postać czarownicy i zbliżają-

cych się do niej krasnoludków doskonale dostraja się do ogólnego tonu baśni, nic nie mającej wspólnego ze światem realnym, a przepełnionej poetyckim urokiem. *Sk. St.*

W Stowarzyszeniach.

Warszawskie Towarzystwo Naukowe.

Od chwili, gdy jeden z najbogatszych arystokratów polskich zajął się tą instytucją, stała się ona przedmiotem szczególnej uwagi i opieki inteligentnych warstw społeczeństwa a wszelkim objawom jej życia nadano charakter niezwyklej uroczystości. Posypały się dla niej hojne ofiary, przemówiły wielosłownie najobojętniejsze w sprawach społecznych pióra, huknęły wiwatowe okrzyki. Przed kilku dniami dokonano tylko otwarcia własnej siedziby Towarzystwa, ale ponieważ miało się to odbyć w obecności i pod przewodnictwem hrabiego-protektora, więc zaproszeni otrzymali na kartach tytuły „jaśnie wielmożnych” z dopiskiem u dołu: „ubranie frakowe”.

Członkowie parlamentu angielskiego siedzą w kapeluszach na głowie, członkowie najdonioślejszych zjazdów europejskich noszą codzienną odzież, a uczesznicy zebrania ubogiej chaty naukowej w Warszawie stroją się we fraki i rozpłaszczają się w swych mowach przed magnatem, który rzucił nauce okruszynę ze swego zbytkownego stołu — okruszynę mniejszą, niż koszt jego polowania. Mamy głęboką sympatię dla celów Towarzystwa, to też przykro nam, że ono tak nie umie zachować swej godności. Wszakże bóstwo, któremu ono służy, ma najwyższy majestat ziemski, a jego kapłani posiadają większe znaczenie, niż wszyscy hrabiowie świata. Powinni też nosić zawsze togę, a nigdy liberyę.

Tow. miłośników przyrody.

W roku ubiegłym przybyły mu dwie nowe sekcje: miłośników astronomii i kolekcjonistów; wszystkich jest więc obecnie pięć: hodowli domowych, zbieraczy okazów przyrodniczych, oprowadzania po zbiorach, ochrony przyrody i miłośników astronomii. Każda żyje i rozwija się samodzielnie, skupiając ludzi, pragnących dążyć wspólnie do jednego

celu. Wziąwszy sobie za zadanie zaszczepienie naszemu społeczeństwu umiłowania przyrody, Towarzystwo bardzo słusznie zwróciło przede wszystkim uwagę swą na dzieci, jako na materiał najpodatniejszy w tym względzie: dokonane już częściowo próby obchodu „święta wiosny” zmierzają do urządzenia w przyszłości jednej wielkiej uroczystości, która mogłaby złączyć dla przywitania wiosny działwę całego miasta, wszelkich sfer i wszelkiego wieku.

W imię zdrowia i piękności Warszawy Towarzystwo zaprotestowało energicznie przeciw parcelacyi ogrodu Frascati, zabudowaniu i rozkawałkowaniu należącego do Zarządu komunikacyi placu przy zbiegu ulic Nowy Świat i Jerozolimskiej. Jego zabiegi o upiększenie balkonów i okien zdobywają coraz więcej zwolenników: w roku bieżącym liczba miejsc, przybranych zielenią i kwiatami, powiększyła się o 936, dając wszystkich razem w Warszawie i na Pradze 5122. To upodobanie rozpowszechnia się tak zaraźliwie, że wkrótce może będziemy liczyć nie okna i balkony, ozdobione roślinami, lecz pozbawione ich. Towarzystwo urządzało wycieczki przyrodnicze, odczyty, pogadanki, brało udział we wszystkim, co z rozwojem przyrodoznawstwa mogło mieć związek. Działalność jego tak się rozszerzyła, że od 1 stycznia 1911 r. otworzyło własną kancelaryę. Członków miało ogółem w tym czasie 196.

Literatura polska.

Kazimierz Przerwa-Tetmajer: *Gra fał*, powieść w związku z „Królem Andrzejem”, str. 380. Warszawa 1911, Gebethner i Wolff.

Na szerokim obszarze świata grają fale; w ich zmiennej głębi poeta tworzy obrazy tak migotliwe, jak ich powierzchnia; skupia, spaja, kruszy lub rozdziela atomy życia, pędząc je w nieustającym ruchu niespokojnej, cele swoje jak gdyby niezupełnie jeszcze jasno widzącej myśli. Co chciał powiedzieć — zgadnąć trudno. Dzisiejszość z tem co niby nastąpić ma jutro, życie z najczystszą fantazją zmieszał w gmatwaninę chaotycznie przewalających się i w kształtach ledwie uchwytnych postaci i wydarzeń, na których zwichrzo-

nem tle wyskakują tu i owdzie pysznie narysowane momenty, mocną ręką postawione i subtelnie odbite charaktery, prawdziwie żywe i przedziwnie odbijające życie... dzisiaj—w tem jutrze, którego świtanie jeszcze nawet nie widzimy. Dlaczego z tego bolesnego, przekłętego dziś miałoby zostać jeszcze aż tyle? Gdy wszystko zmienia się, kruszuje i w proch rozsypuje, nietknięta, nieśmiertelna, trwać ma tylko słabość, nikczemność i głupota. Dlatego na ruinach wszelkich nadziei zawsze tryumfować będzie—ksiądz. Nie Bóg, lecz ksiądz; nie wiara, lecz kościół. Daremnie zmagania się, ostrze miecza, przeciwko niemu zwrócone, w jego przeciwnika ugodzi, pocisk, w niego wymierzony, bezsilny padnie w pół drogi. Niedosięgnięty, niepokonany — stoi i stać będzie, trzymając w strachu u stóp swoich zabobonem opętaną ludzkość. I wszystkie porywy tej ludzkości do światła, do wolnego życia będzie hamował, niweczył dla zysków swej władzy, dla korzyści nieograniczonego panowania nad nią—zimny, wyrachowany, niewierzący a wiarę udający, bez skrupułu i bez wstydu. Tak przepowiada autor.

Cóż znowu. Czyżby ze snu, w który niegdyś zaklęto królownę, nigdy już zbudzić się nie miała?

Maciej Wierzbński: *Pod mysią wieżą*, powieść współczesna, str. 379. Warszawa, 1912, Gebethner i Wolff.

Życie zwykłe, przeciętne prowincji—jednej z najbogatszych w zaborze pruskim; gdyby miało być obrazem rzeczywistego, niezbyt wesoło zastanowiłoby się trzeba nad tą jakością najkulturalniejszą i najoświecieńszą dzielnicy Polski. Lecz dano nam tylko, co czytelnik doskonale odczuwa, słabe jego odbicie, tyle właśnie, co niezbędnem było dla wyjasnienia głównego tematu, a tym, jak zawsze, jest miłość. Autor pragnąłby szczerze uczynić ją poetyczną i skrzydlatą, lecz praktyczna jego natura narzuca mu stanowisko hodowcy, dbałego o korzyści rasy. Znajduje się on jeszcze w tem stadium rozwoju, kiedy dla mężczyzny kobieta jest tylko samicą i matką—istotą dającą rozkosz i rodzącą dzieci. O stosunki społeczne i polityczne kraju potrąca dość pobieżnie, choć daje możność wyobra-

żenia sobie tej atmosfery gwałtu, poniżenia i ucisku, w jakiej żyć musi dusza polska — i karleć. Sobkostwo, dorobkowiczostwo, skostniałość pojęć i wszystko przetrawiająca na proch nicość kastowości—oto główne cechy społeczeństwa kujawskiego, które w tej książce chciano nam podkreślić.

J. Weyssenhof. *Soból i panna*, Warszawa 1911, Gebethner i Wolff.

Jest to może najpoetyczniejsza z powieści tego pisarza. Poezya jednak nie tkwi w samej bajce, lecz w jej dekoracjach. Autor z przedziwną wiernością i wdziękiem nakreślił szereg obrazków myśliwskich i Reymontowskich opisów natury. Na tem tle rozsnawia się romans panicza z chłopką w formie czysto szlacheckiej. Młodemu dziedzicowi podobiała się ładna dziewczyna wiejska, więc chwycił ją jako przysmak. Ona rozkochała się w nim, on także patrzył na nią wilgotnymi oczami, ale to mu nie przeszkadzało wydać jej za męża, a raczej na mękę małżeńską, gdy nadeszła pora i potrzeba rozdziału. Co tam dalej stało się z nią i z nim—nie wiadomo, ale to pytanie w pewnym poglądzie na życie jest tak zbyteczne, jak zbytecznem byłoby zgadywać, co się stało z nadgryzionym ananasek i tym, który go zjadł. Jest w powieści drugi pańsko-chłopski romans, który się kończy szczęśliwiej—małżeństwem. Obie te historie miłosne są zaledwie kwiatkami, wpiętymi w kurty myśliwców, którzy ciągle i namiętnie polują, dostarczając autorowi materiału do najładniejszych kart utworu.

H. Sienkiewicz: *W pustyni i w puszczy*, str. 395, Warszawa 1912. Gebethner i Wolff.

Nazwano tę opowieść przygód małego chłopczyka polskim Robinsonem. Porównanie trochę naciągnięte. Słynny bowiem bohater Defoe'go ratuje swoje życie genialnymi pomysłami na odludnej wyspie, jest wzorem samopomocy, u naszego autora występuje odważny i mężny wojowniczek, rycerzyk małej kobietki. Nasze upodobania odbiły się na tej bajce.

Z CZASOPISM POLSKICH.

Dr. J. Flach, poddawszy w Przeglądzie Polskim gruntownej krytyce orzeczenie komisji, badającej nadużycia rapperswilskie i żądającej reform w zarządzie instytucji, tak kończy:

Tymczasem Komisja, uznawszy to wszystko, z pomocą bajecznego salto mortale wnosi oddać wprawdzie kierownictwo Muzeum „człowiekowi zupełnie fachowemu”, ale „pozostawiając p. Rużyckiego jako konserwatora zabytków”. Z kogo tu Komisja drwi? Z nas, czy... z siebie? Co znaczy to *jeu de mots*? P. Rużycki jest zły na kustosza, ale dobry na konserwatora! Co to znaczy? P. Rutowski tłómaczył wyraz kustosz przez „cerber u progu domu, po prostu Bryś na uwięzi” i przyznawał p. Rużyckiemu nadzwyczajne uzdolnienie do tej funkcji; Komisja mianuje go znowu „konserwatorem”. Co ma „konserwować”? Obecny stan Muzeum? Albo same zabytki tak, jak n. p. „konserwować” dotychczas maszynkę Baranowskiego, albo wycinki Chodźki, albo rysunki Oleszczyńskiego? Jeśli w pierwszym artykule trzeba było uciec się aż do patologii, by zrozumieć postępowanie zarządu Muzeum, tak chyba na tej tylko podstawie da się pojąć, jak ktoś może jednym tchem żądać „reform”; usunięcia p. Rużyckiego ze stanowiska kustosza, a równocześnie mianowania go konserwatorem tegoż Muzeum.

Tym jednym wnioskiem Komisja przekreśliła całe swe poprzednie orzeczenie, zniweczyła owoc długich i żmudnych badań, zaprzepaściła sprawę reformy Muzeum, którą ona jedna tylko mogła w czyn wprowadzić. I smutno stwierdzić, że narazie rezultatem całej akcji celem uzdrowienia Muzeum jest obamałucenie i uśpienie opinii szerokich kół wykształconego ogółu. Ci zaś nieliczni, którzy mają własny sąd i możność własnej obserwacji lub krytycznego ocenienia wywodów innych, ci muszą dzisiaj w duchu rozszerzyć ławę oskarżonych i posadzić na niej obok zasiadających tam zdawna członków Rady i p. Rużyckiego, jeszcze członków Komisji. A nawet przeciw nim dzisiaj cięższe jeszcze, niż przeciw tamtym, trzeba podnieść oskarżenie, bo oni przecie, w chwili może jedynej, mieli tamto złe naprawić.

I cała nadzieja w tem tylko, że im większym jest upór broniących zła, tem większą jest wytrwałość pragnących dobra.

W tej sprawie S. Żeromski wydał świeżo broszurę p. t. „O przyszłość Rapperswilu” (Kraków 1911), w której określa cele przyszłego, proponowanego przezeń Towarzystwa Przyjaciół Rapperswilu i udowadnia zarzuty, czynione zarządowi tej instytucji. Po tem udokumentowaniu są one niewzruszone a badająca je komisja wraz ze swym protegowanym kusto-

szem, maniakiem-falszerzem, nabiera dziwnej wyrazistości.

A. Nowaczyński zamieścił w Kurjerze porannym polemiczną apoteozę A. Wielopolskiego. Jak zwykle, podnosi on przesadą chwałbę i naganę do tonów krzykliwych, gdy mówi, że postać margrabiego „więcej przed Duchem dziejów warta na szali jednej od całego narodu na szali drugiej położonego”, gdy stawia go na wyżynach największych geniuszów czynu, samotnego „śródm kannibalów, wzajem się zjadających, śród lakierowanych francuszczyzną samojedów”, jako „Wielką Ofiarę, cichą, bezsłowną, przemilczeniem zamordowaną” i przez 50 lat spotwarzoną. Ani Wielopolski nie był największym i „najtragiczniejszym w Polsce Mężem Czynu” ani nie spoczął w „Łazarzowym grobie”, na którym Lisiecy i Spasowicze wzniesli mu okazały pomnik. Mimo tej przesady, która zresztą stanowi może jedyny środek wstrząśnienia naszym zdrętwiałem społeczeństwem, artykuł Nowaczyńskiego jest najśmielszą, najsilniejszą i najpiękniejszą filipiką z lat ostatnich. Oto niektóre jej wyjątki:

* Podczas więc, kiedy kultury Chopina i Słowackiego, w czynach nikłe, nijakie i nieszczerze, w słowach wydęte, affektowane i gaskońskie mogą liczyć na coraz szersze kręgi zelotów i zer, ponieważ są łatwe, niekosztowne w praktyce, powierzchowne, nie wymagają żadnego wysiłku myśli i cieszą się sympatycznym rezonansem w społeczeństwie, to miłość i wiara w Margrabiego dziś może liczyć tylko na kilka lub kilkanaście niewiedzących nawet o sobie jednostek; dzieje się to zaś z tego prostego powodu, że pokolenie Jemu spóczesne albo wymarło, albo znajduje się już w stadyum uwiadu starczego; w pokoleniu zaś naszym wiedza historyczna tak o Nim, jak o jego czasach, jak o latach 62 i 63 wogóle jest albo żadna, albo błędna, fałszywa, konwencyonalna i legendarna. Przeciętny Polak naszych czasów więcej wie o którymś z Laskonogich czy Kędzierzawych, znacznie już więcej o panu Twardowskim, Pasku i Zagłobie, a już bezwarunkowo znacznie więcej o Księdzu Kordeckim „obrońcy” Częstochowy. I przeciętnemu Polakowi „sympatyczniejszym” zjawiskiem jest już „zasadniczo sympatyczny” przeor OO. Paulinów. Przeciętny Polak bowiem dopiero gdzieś koło roku 1950 dowiędzie się, że książę Kordecki pisywał bardzo sympatyczne listy do „sympatycznego mu generała szwedzkiego.

Natomiast „sympatycznemu przeciętnemu” polakowi Margrabia będzie zawsze przedewszystkiem antypa-

tyczny, bo „jakoś nie nasz“ obcy, nieswojski, nie Ignący do fali, nie ciepły, nie przeciętny. Dziś jako i wczoraj odzegnują się od niego wszyscy, którym drogą popularis aura, tłum sejmikowy, ilość, wielka cyfra. W t. z. ugodowym obozie, który najniefortuniej podejrzewają o „rozpaczliwie beznadziejną chęć zaszczepienia kultu Margrabiego“ mówi się o Wielkim patronie tylko przy drzwiach zamkniętych, przycisnie, z pewnym ambarasem i z nieszczerymi westchnieniami karzełków rozpamiętywających epokę Guliwera. Gdy się czasem wyrwie po Filipokonopiemu enfant terrible torysów pastor-zawadjaka Straszewicz z jakimś gorętszym ideowym hołupcem wraz mu wołają wszyscy: a psst, a psst! Obóz ten czuje bowiem instyktownie, że to nie był „ich człowiek“. Konserwatyzm i dziś nieufnie, z podełbą patrzy na tego, który po zgodnem i bratnim zbliżeniu dwóch największych społeczeństw słowiańskich obiecywał sobie zdemokratyzowanie swego własnego, dziedzicznie obciążonego psychozą konserwatyzmu szlacheckiego. A jak niby własny obóz polityczny, tak nawet i własna rodzina raczy jeno z anemicznym zapałem i wciąż raczej „wewnętrzna“, milczącą, dyskretną, przechować tradycje swego największego krewniaka.

I w ten sposób dzieje się u nas niepowetowana, straszna, o pomstę wołająca krzywda i nadal jeszcze, jeszcze nadal w tyle lat po wszystkim, w pół wieku po śmierci, krzywda Człowiekowi, którego cały żywot na arenie publicznej był już najwyrafinowaną Gehenną, którego ukamienowano błotem kilkakrotnie jeszcze za życia, na którego Ossę i Pelion oskarżeń za wszystkie nieszczęścia ojczyzny zwalili ci właśnie, którzy swym samurajskim samobójczym szaleństwem, dziecięco-optimistyczną hypnozą głębszy nam grób wykopali od wszystkich targowickich łopat razem wziętych.

Pod względem kultury historycznej społeczeństwa, przeciętni polacy stoją niestety na poziomie tych ludów, z którymi je upodabnia bovaryzm, t. j. passons le mot liberyjskich Negrów.

Dziejów swoich nie znają i nie chcą wcale poznać. O swoich bohaterach dowiadują się przygodnie i przelotnie. Świętymi polskimi nadal mają Szczepanowskiego, Kordeckiego i Jandołowicza t. j. biskupa-zdrajcę, przeora-zdrajcę i mnicha-zdrajcę. (Stanisława, Piotra, Marka). W bieżącym roku obchodzić będą jubileusz złotoustego intryganta, z którego idei politycznych rozwinęły się normalnie i organicznie wszystkie przyczyny późniejszych, całkiem konsekwentnych trzech rozbiorów polskich (jezuity Pawęskiego). O nazwiskach Ostroroga, Frycza-Modrzewskiego, Opalińskiego, kanclerza A. Zamoyskiego żaden patriotarda nic nie słyszał. Ale za Margrabią! za Margrabią „idą złorzeczenia całego narodu“, niewytłomaczalnie adorującego; niepo czytalnie bezczeszczącego, o dziejach swoich mającego minimalne, całkiem bovarystyczne i omal negierskie pojęcie.

„Przykre widmo“. O niej Postać niewiarogodna w „przykrym narodzie rozmnożonych Bramarbasów, Falstaffów, Papkinów, luminarzy z pod ciemnej gwiazdy, powiatowych Palmerstonów, zaściankowych Metternichów, przerabiaczów nałogowych mapy Europy, pak-

tujących z Portą i z Menelikiem nygusów, zapoznanych miernot, dyplomatów z Offenbacha, cofających się w zacisza poronionych znakomitości, dożgonnie małoletnich starców, przedwcześnie wypełzłych i zmożonych niczem działaczów, fanfaronów heroizmu i poetów.

„co za Polskę walecznie umierali w rymach bez rozlewu krwi bratniej po Dreznach i Rzymach“.

Nie „widmo to posępne i przykre“, ale mimo swą tragiczność radosna, w godzinach szarej rozpaczli otuchę wlewająca wizya, granitowego cokółu rzeczywistości stopami dotykająca, wizya Męża, jeszcze, jeszcze swem życiem nadzieję wzbudzającego, że przecież... może... w decydujących kryzysowych momentach dziejowych wyłonić się z tych gromad głów do pozoty, natchnionych płaczków, konspiracyjnych gadułów, pijaków patosu, katolików 14-tej próby, maklerów parlamentarnych lub czcigodnych idealistów, wierzących w interwencję: nadziemskich sił, cesarzowej Eugenii i „Plon-Plona“ że może wyjść kiedy z czeredy tych maszkur i masek mąż nie tylko stalownej woli, ale i żelaznej ręki..

* * *

Odpowiedział mu Kuryer Poranny ścisłym rachunkiem czynów Wielopolskiego, które bynajmniej nie dają podstawy do ubóstwiania.

Nie pierwszym człowiekiem w epoce nowej, ale ostatnim człowiekiem z epoki starej wydaje się nam dzisiaj dumny, wzdarliwy, wierzący tylko w swój geniusz i swoją spadkobierczą misję odzyskania majątku przodków Margrabia. Jak o swój Pińczów i Szaniec stracony lekkomyślnością stryja, tak samo prawował się z uporem i o tę inną wielką ordynację, straconą przez pokolenia, które nie zostawiły potomstwa. Akta mi jego w tym ostatnim procesie był traktat wiedeński i statut organiczny z 26 lutego 1832 roku. Dyplomatyczny pełnomocnik księcia Adama Czartoryskiego, który groził przeniesieniem wojny do Turcyi i do Persyi lekceważącemu prawa Polski Palmerstonowi, nie zamarł w nim ani na chwilę. Szesnaście punktów jego memoriału, wręzonego Gorczakowowi, to jakby ostatnie w dziejach naszych ultimatum Rzeczypospolitej. Przegrał swój proces, bo przegrać niechybnie musiał przez naturalną fatalność dziejów. I jeżeli dziś idą za nim złorzeczenia narodu, to nie dlatego, że ten zgubiony proces nie zakończył się jego zwycięstwem, bo gdyby tylko powodzenia czcić miano w porozbiorowych dziejach, złorzeczyćby trzeba było każdemu najpiękniejszemu poświęceniu, każdej najszlachetniejszej ofiarnej męce, którą naród błogosławi z wdzięcznością. Ale wspomnienie o nim jest posępnem widmem dlatego jedynie, że imię jego zamieniło się, zamienić się musiało w symbol rążaki z narodowem tętnem życia i że w dziejach czasów, w których dusza narodu przechodziła jedno z najboleśniejszych przesileń, wynurzało się na zwróconym przeciwko nim brzegu jak opoka, o którą fala odbijała

się tylko z tem gwałtowniejszym bryzgiem i spadała w skrwawionej pianie, zatapiającej wszystko w bezmiarze chaosu i nieszczęścia.

Krótko i prosto mówiąc, tragedia zrodziła się z tego nieszczęścia, że kierownictwo losami narodu przewrażliwionego, pobudliwego, fantazyjnego i nawskroś niepolitycznego powierzono człowiekowi, który nie był ani byстрыm psychologiem, ani zręcznym taktikiem, lecz rozumnym i zarozumiałym autokratą.

* * *

Podczas gdy Nowaczyński postawił Wielopolskiego na ołtarzu, prof. J. Baudouin de Courtuenay ze znaną mu odwagą nazywania rzeczy po imieniu, postawił go w Krytyce karkowskiej pod pręgierzem. Był to wskrzesiciel „żłódziejskiego systemu” (branki nocnej), zwolennik gwałtu i szubienicy.

„Postępowanie Wielopolskiego okazało się nie tylko antyetycznym, czyli zwodniczym, ale także bezcelowym. Swą zaciętością i okrucieństwem odpychał od siebie społeczeństwo i powiększał liczbę wrogów; sprowokowawszy zaś powstanie, zgubił samego siebie wraz z całym systemem zbawienych i głęboko pomyślnych reform.

W Tow. Kultury Polskiej.

Staraniem V Oddziału T. K. P. urządzono następujące odczyty: Baczyńskiego Stanisława: Pogląd na świat w jego dziejowym rozwoju. Stef. Ehrenkreutza: Francja Ludwików XV i XVI.—Powstanie i wzrost początkowy Państwa Rzymskiego.—Maryi Gomolińskiej: O pierwszej Słowiańszczyźnie (W zaraniu naszych dziejów).—Józefa Jabłońskiego: Nafta, jej wydobywanie i znaczenie.—Zygmunt Kmita: Podatki i ich znaczenie.—Dr. Kopczyńskiego: Czy człowiek ma wolną wolę.—L. Krzywickiego: Postęp nauki.—Co to jest społeczeństwo.—Zwierzę a człowiek (Religia ludzi pierwotnych).—Przyszłość społeczeństwa.—Stworzenie świata i część żywiołów przyrody.—Reginy Lewinowej: Opanowanie przez Rzymian morza Śródziemnego.—Rozwój kapitalizmu w Rzymie.—Łempickiej El.: Wulkany i trzęsienia ziemi.—Przyroda gór karpaccich.—Zaludnienie gór.—Budowa ziemi.—Dzieje ziemi.—M Muszkowskiego: Poezya liryczna w Polsce.—Epopeja we wspóln-

czesnej literaturze polskiej.—Współczesna satyra.—Współczesna krytyka.—Dr. Klemensa Pawlikowskiego: Co powinniśmy wiedzieć o chorobach zakaźnych.—Maryi Stołyhwo: Podbój zwierząt przez człowieka.

Dn. 23 na wieczorze dla członków panie: Lindenbergowa, Paradowska, Walewska i Dichsteinówna dały sprawozdanie z ruchu kobiecego za ostatnie półrocze z książki Orki: „Kobieta w sejmie i gminie”, wydanej staraniem komisji do spraw kobiecych przy Tow. Kultury Polskiej i z książki Faguet’a: „Kobieta jutrzejsza” (La femme de demain).

Po odczytaniu referatów, p. Orłowski zaznaczył, że walka kobiet o należne im prawa jest częścią składową ogólnej walki postępu z ciemnotą. Męczyzna prawdziwie postępowy zawsze przyzna kobietom te prawa, których potrzebę dla siebie uznaje.

Dalszej dyskusji nie było.

POSIEDZENIA—ODCZYTY—ZABAWY.

Dn. 20 list. odbyło się posiedzenie ogólne członków sekcji oświatowej,

Dn. 5, 12, 19, 26 list. odczyty W. Trojanowskiego o sztuce w Egipcie, w Assyrii: Chaldei, Persyi, Grecyi.

Dn. 19 list. Odczyt zbiorowy o Orzeszkowej.

Dn. 19 koncert, urządzony staraniem sekcji sportecznej.

Dn. 24 Wieczornica dla członków i ich rodzin urządzona staraniem komisji artystycznej.

KRONIKA.

WARSZAWSKIE POGOTOWIE RATUNKOWE w sprawozdaniu za wrzesień podaje, że wzywane było 1385 razy — w dzień 1059, w nocy 326. Samobójstw w tym czasie popełniono 71, symulacyj 8. Do szpitali i lecznic odwiozło Pogotowie 224, do mieszkań 49. Poszkodowanych wogóle było: 728 mężczyzn, 252 kobiety, 147 dzieci do lat 15; ran postrzałowych 7, rozpraw nożowych 87, bójek 122, przejechań 87. Od początku 1911 r. było wezwań 11,124; od założenia Towarzystwa (12 lipca 1897 r.) — 129,305.

MUZEUM KRAJOZNAWCZE w Kielcach istnieje od lat trzech i posiada okazy dość liczne: są to wykopaliska, paleontologiczne itp. Śród dokumentów są 3 pergaminy: Henryka Walezyusza, Jana Sobieskiego i Stanisława Augusta, List oryginalny Stanisława Żółkiewskiego, własnoręczny rozkaz Kościuszki, zalecający utrzymanie spokoju w Kielcach i inne. Na uwagę zasługują: grób przedhistoryczny, narzędzia i broń z epoki kamiennej, monety polskie od XI wieku do ostatnich czasów, cenne medale i t. d.

NA CELE PUBLICZNE w ostatnich czasach ofiarnej zaczęły płynąć dary. Powiał taki już widać prąd i wśród martwego na te potrzeby zazwyczaj ogółu zbudził wrażliwość większej ilości jednostek. Hr. Adela Ożarowska zapisała 271,000 rb. na założenie szpitala

dla dzieci w Radomiu i w testamencie zastrzegła, ażeby dzieci włościan z jej majątku miały w przyjęciu do szpitala pierwszeństwo przed innymi. Taż sama pani ostatnią swą wolą przeznaczyła: na Schronienie nauczycielek w Warszawie 10,000 rb., na Tow. popierania przemysłu ludowego w Królestwie polskim 5000 rb. na kościół w swej parafii 2000 rb. Ten ostatni zapis jest w tym wypadku szczególnie uderzający w zestawieniu z innymi. Umarł też prawie jednocześnie pod Berlinem Roman Plewkiewicz, który, dorobiwszy się ogromnego majątku, jeszcze za życia dawał hojnie na cele społeczne, a testamentem przekazał na różne instytucje polskie oświatowe i kulturalne około 140,000 rb. Ale najwspanialszym, choć znacznie dawniejszym darem, okazał się zapis, zmarłego w Baku w r. 1904, inżyniera górniczego, Witolda Zglinieckiego, który rodzinemu swemu miastu Płock przeznaczył: 5000 rb. dla Tow. dobroczynności, a 35,000 na założenie i utrzymywanie szkoły rzemieślniczej i tyleż, z takim samym przeznaczeniem, dla każdego miasta gubernialnego w Królestwie pol., o ile starczy sumy spadkowej. Najhojniej jednak obdarzoną została Kasa im. Mianowskiego: otrzymała ona teren naftowy, który zrazu wydawał się bezwartościowy a dopiero w ostatnich miesiącach zaczął przynosić ogromne dochody. Pieniądze popłynęły naraz jak nafta: trysnął źródło, który może się okazać ożywczym dla zakrzepłej już nieco staruszkii.

MIASTA-OGRODY. Powoli ze sfery rozwiennych słów i marzeń zaczynają wchodzić w życie. W Ożarowie pod Warszawą, na 60 morgach, położonych tuż przy stacyi kolei kaliskiej, wytknięto już ulice, pokopano rowy, na wiosnę drogi obsadzone być mają drzewami owocowymi i zaopatrzone mostami betonowymi. Organizatorzy robią starania o ułatwienie kredytu na budowę domów na działkach. Punkt jest dobrze wybrany, gdyż Ożarów odległy jest od Warszawy o 15—20 minut jazdy koleją.

ADRES DZIECI IRLANDZKICH DO WIELKOPOLSKICH. Gruba księga, oprawna w ciemną skórę, z wybitym u góry złotymi literami napisem: „do dzieci polskich“, złotą lirą poniżej i datą 1908 r. złożona została w tym czasie w Muzeum Czartoryskich w Krakowie. Zawiera ona list dzieci irlandzkich w trzech językach: angielskim, celtyckim i polskim, w którym, prześladowanym za język swój, dzieciom polskim w Wielkopolsce tamte szczęśliwsze i wolnościami obdarzone, wyrażają współczucie swe i sympatyę. Pod listem około sześciu tysięcy podpisów, które zebrał inicjator tego szlachetnego czynu, lord Tennyson.

W SPRAWIE REJENTA TURCZYNOWICZA skazanego na grzywny, pozbawienie urzędu i areszt za spórządzenie aktu spółki pod nazwą: „Lubelskie Tow. ziemiańskie“, wyrok, ogłoszony w ostatecznej formie, zaznacza, że Towarzystwo, którego zadaniem być miało: skup majątków ziemskich, sprzedaż ich, wydzierżawianie, branie w administrację, wywołanie hipotek i regulowanie stanu hipotecznego posiadłości wiejskich, urządzanie planów parcelacyjnych, komasacyjnych, irygacyjnych, wyjednywanie pożyczek, urządzenie gospodarstw leśnych, mlecznych, zakładanie cegielń, fabryk dla eksploatawanie torfu, zaopatrywanie majątków ziemskich w budynki gospodarcze i mieszkalne, w inwentarz żywy i martwy i t. d. i t. d. — Towarzystwo takie nie mogło powstać w drodze aktu rejentalnego, lecz tylko zatwierdzone przez władzę; a ze względu na swe cele nie mogło liczyć na uzyskanie tego zatwierdzenia.

WARUNKI PRENUMERATY: Dla członków Towarzystwa Kultury Polskiej rocznie 2 rb. 25 kop., — dla nieczłonków rocznie 3 rb. 25 kop.

Numer pojedynczy dla członków kop. 20, dla nieczłonków kop. 30.

Adres redakcyi: Warszawa Krucza 9, Towarzystwo Kultury Polskiej. Nr. telefonu 51-26.

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Pięka 15.

ŚNIADANIA SZKOLNE. Dzieci wiejskie w czasie szkolnym, te oczywiście, które do szkoły bywają posyłane, nie dostają rano nic ciepłego, gdyż śniadanie w domu bywa zwykle około 10-ej, a kobiety wiejskie gotują tylko dwa razy dziennie. Dziecko dostaje zazwyczaj kawałek suchego chleba, czasem z mlekiem, a dopiero wieczorem, po przyjściu ze szkoły ciepłe pożywienie. Jak takie odżywianie wpływa na jego rozwój umysłowy i fizyczny nie potrzeba wyjaśniać. Gdzieś indziej dawno pomyślano o zaradzeniu temu brakowi. Zagranicą wszędzie w szkołach początkowych dzieci otrzymują gorący posiłek: zupę lub mięso; nawet w Cesarstwie już od lat prawie 30 zaprowadzono śniadania; u nas tylko dotąd jeszcze sprawa ta leży odłożeniem.

ODEZWA „STRAŻY“ POZNAŃSKIEJ wzywa społeczeństwo polskie, ażeby nie ztracało w swych dzielnicach charakteru polskiego na zewnątrz. Władze pruskie nie pozwalają umieszczać nazw polskich na rogach ulic, coraz więcej istnieje składów żydowskich i niemieckich, które mają napisy wyłącznie niemieckie. W czasach ostatnich wiele firm polskich tak samą czyni. Na ten objaw, jako na dowód upadającej godności narodowej, Straż zwraca uwagę i surowo prześladować go zaleca.

NOWE PISMO, miesięcznik, organ Tow. opieki nad wychodźcami zaczęło wychodzić w Warszawie p. t. **Wychodźca polski.**

ZMARLI:

Stanisław Markiewicz doktor medycyny, twórca kolonii letnich w Warszawie.

Wanda Podgórska, literatka i działaczka społeczna w kolonii polskiej w Moskwie.

Wojciech Piechowski, artysta-malarz.

Kazimierz Mirecki, artysta-malarz.

Wacław Karczewski, literat piszący pod pseudonimem Maryana Jasieńczyka.

DARY DLA TOWARZYSTWA KULTURY POLSKIEJ.

Aleksander Świętochowski — 50 r. dla VI Oddziału Tow. Kultury Polskiej (na Pradze).

B-cia Jabłkowscy — 10 rb. do rozp. A. Świętochowski.

Dr. W. M. — 5 rb. dla szkoły Tow. Kultury Polskiej w Żyrardowie

Za pośrednictwem Dr. M. Zielińskiej — dwadzieścia sześć roczników „Prawdy“.

Adolf Tingle — 50 kop. dla kursów gospodarskich w Kruszyńku.

Z Red. „Prawdy“ — 1 rb. dla kursów gospodarskich w Sokołównu.

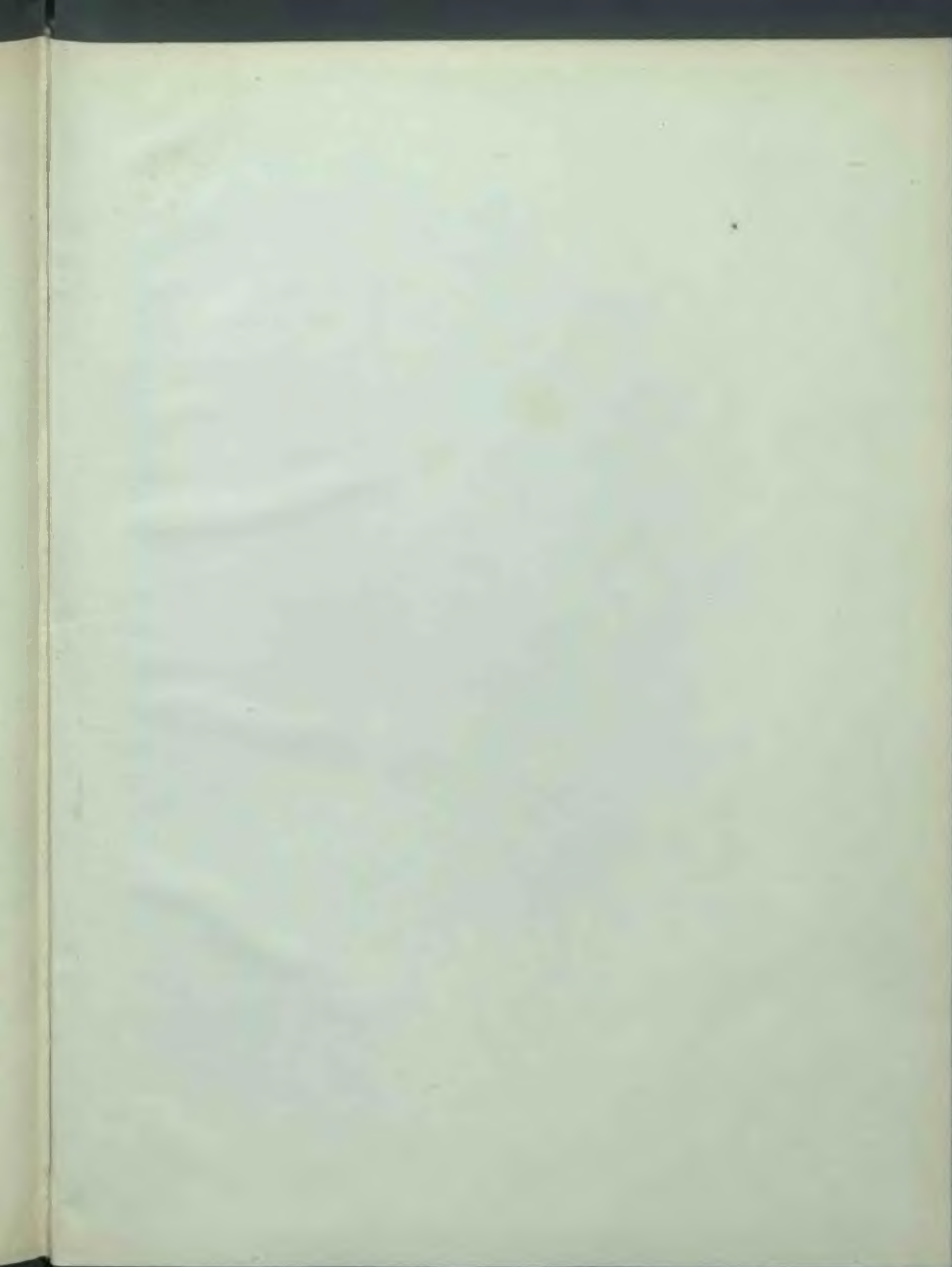
„Gazeta kujawska“ „Dziennik postępowy, polityczny, społeczny i literacki. Wychodzi w Włocławku codziennie, przy współudziale najwybitniejszych sił literacko-publicystycznych.

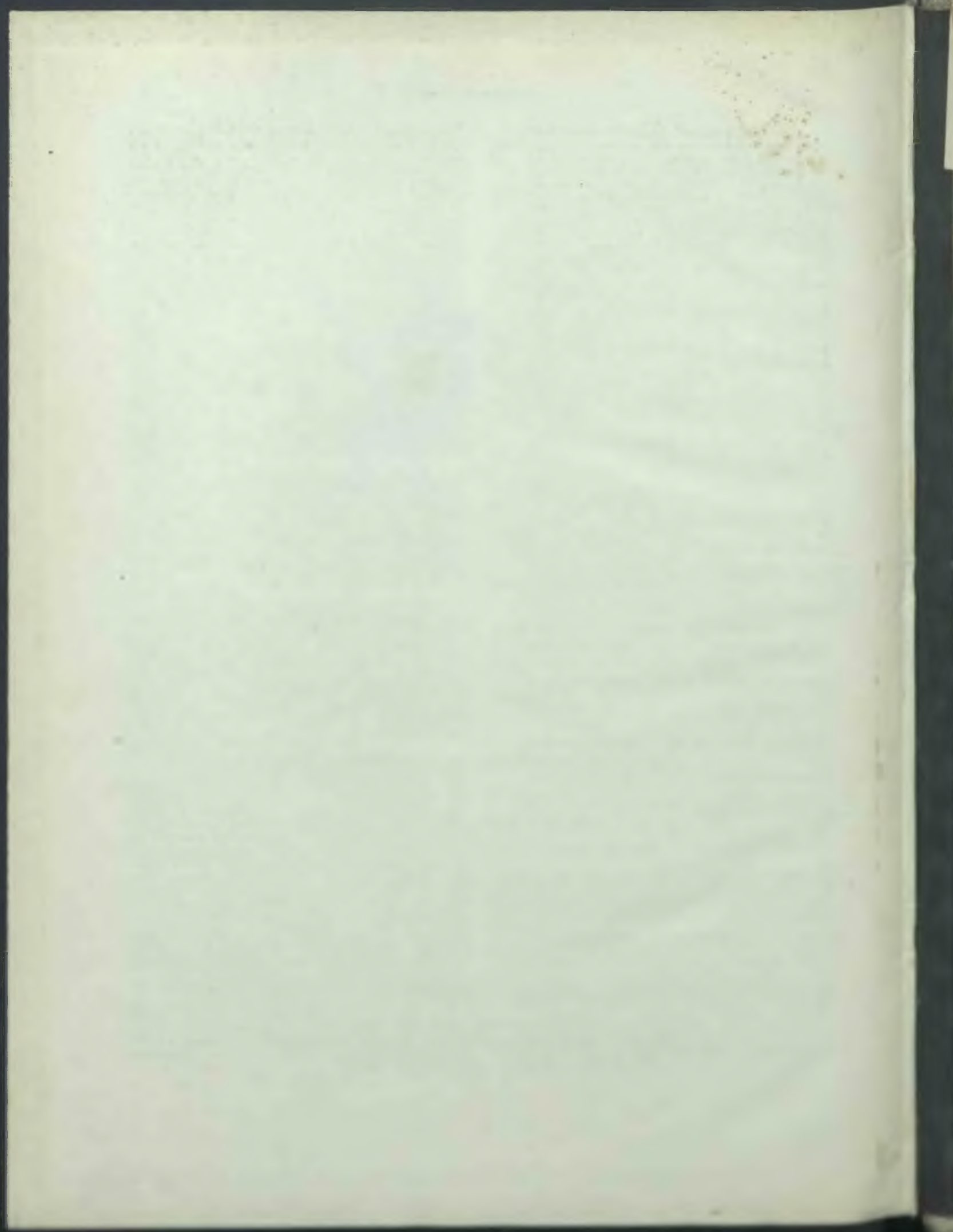
Cena prenumeraty: W Włocławku 5 rb., z przesyłką pocztową 6 rb. rocznie.

Redaktor i Wydawca Dr. Jakub Neumark.



1757





P. 75
1. 75

